

Obsesja Białorusi

25 kwietnia 2011

Każda okazja jest do dobra, aby dokopać Białorusi. Ostatnio okazję taką stworzył zamach w mińskim metrze. Niemal natychmiast po tym tragicznym wydarzeniu w polskiej telewizji wystąpił białoruski opozycjonista twierdząc, że do zamachu mogło dojść w wyniku prowokacji białoruskich służb specjalnych. Mogło tak być a mogło też być inaczej. Dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona nawet prosta przyzwoitość nakazywałaby wstrzymanie się od nie opartych na faktach dywagacji i komentarzy. W polskiej sferze politycznej panuje jednak prymitywnie jednostronny punkt widzenia na wszystko, co związane jest z Białorusią. Łukaszenko jest zawsze zły a jego polityczni przeciwnicy zawsze wspaniali i szlachetni. Wychodzą tu na jaw antywschodnie i anachroniczne antyradzieckie obsesje, które niekiedy tłumione wobec Rosji wybuchają z całą siłą wówczas, kiedy z pozycji polskich panów można bez oporów krytykować Białoruś.

Na przejaw wszelkich niepokojów społecznych na Białorusi polskie elity polityczne reagują solidarnie, alergicznie i zdecydowanie. Kiedy w grudniu ubiegłego roku doszło w Mińsku do starć demonstrantów z milicją, w standardowy sposób zareagował Sejm, podejmując przez akklamację uchwałę potępiającą Białoruś za stosowanie przemocy wobec niezadowolonych z władzy demonstrantów. Przy okazji powtórzono niepotwierdzone pogłoski o sfałszowaniu wyborów prezydenckich. W tym czasie w Libii lała się krew, w Bahrajnie wojsko strzelało do demonstrantów, w Egipcie ginęli ludzie protestujący przeciwko despotycznym rządóm.

Posłowie zaapelowali też o wypuszczenie osób zatrzymanych po grudniowych zamieszkach. Jest to już kolejny apel na który Łukaszenko ma prostą odpowiedź: „Nie należy ode mnie tego żądać. Będziemy postępować tak jak we Francji, w Niemczech, przecież tam prezydent nie może pójść i uwolnić człowieka z

aresztu.” Rzeczywiście, bez względu na to czy Łukaszenko mówi w tym momencie prawdę, samo takie żądanie wygląda dosyć absurdalnie. Z jednej strony od białoruskiego prezydenta wymaga się przestrzegania pewnych norm zgodnie z którymi władza wykonawcza nie powinna bezpośrednio ingerować w uprawnienia władzy sądowniczej, z drugiej zaś takiej właśnie ingerencji się oczekuje.

Jak powszechnie wiadomo, Białoruś nie ma bynajmniej monopolu na rozwiązania siłowe. Sejm nie reagował, kiedy brutalnie spacyfikowano manifestację w Tbilisi. W Albanii w styczniu tamtejsi borowcy zastrzelili trzech uczestników antyrządowej demonstracji i ranili ponad 150. I co? I nic. Milczały o tym media, milczały obrońcy praw człowieka a UE nawet nie rozważała możliwości wprowadzenia sankcji. Mimo tego, że Albania aspiruje do członkostwa w UE, co samo w sobie powinno uczulić europolityków na przestrzeganie podstawowych standardów zapisanych w unijnych traktatach. Sejm nie reagował również kiedy w Azerbejdżanie dwukrotnie w tym roku zatrzymano w areszcie osoby biorące udział w antyrządowych demonstracjach. Gdyby coś podobnego wydarzyło się na Białorusi, to trąbiły by o tym wszystkie media, telewizja udzielałaby głosu przedstawicielom tamtejszej opozycji a Sejm po raz kolejny podejmowałby, oczywiście bez dyskusji i przez aklamację, stosowną uchwałę.

Również w samej Unii, przesiąkniętej ponoć ideałami wolności, demokracji i praw człowieka policja atakuje demonstrujących ludzi, jak choćby w Grecji czy Wielkiej Brytanii. Jednak w stosunku do Grecji nie tylko nie stosuje się sankcji, lecz wręcz pompuje się grube pieniądze. Unia, pospołu ze Stanami Zjednoczonymi, reaguje restrykcyjnie tylko na takie kraje, jak Białoruś, Kuba, Korea Północna czy Iran a ostatnio także Libia. Czyli na takie państwa, które prowadzą własną, niezależną politykę nie podporządkowaną Stanom Zjednoczonym i usłudze im sprzyjającej Unii Europejskiej. „Fakt istnienia takiego niezależnego państwa, które tworzy politykę biorąc pod

uwagę swoje interesy, wywołuje silne rozdrażnienie ze strony niektórych zewnętrznych sił politycznych dążących do podporządkowania swoim interesom” – twierdzi nie bez racji dziennik „Sowietskaja Biełorusija”.

Żeby była jasność: trudno jest pochwalać rozpędzanie demonstracji i wsadzanie do więzienia politycznych przeciwników. Jednocześnie jednak trudno jest bezkrytycznie akceptować restrykcje, jeżeli są one stosowane wybiórczo. A takie właśnie restrykcje wprowadziła Rada Ministrów Unii Europejskiej. Rada nie tylko zakazała wjazdu na teren Unii prezydentowi Łukaszence i osobom, którym zarzuca się stosowanie represji wobec opozycji, lecz także przewodniczącym 24 terytorialnych komisji wyborczych, prorządowym dziennikarzom i synom Łukaszenki. Widocznie, zdaniem europejskich polityków, synowie namawiali starego, aby rozpędził demonstrację a on naiwny dał się podpuścić. Dziennikarzy z prasy przyjaznej prezydentowi określono jako propagandzystów. Tak się jednak ciekawie składa, że prorządowa prasa istnieje w każdym normalnym państwie a jej zadaniem jest przedstawianie racji i punktów widzenia władz. Problem zaczyna się wówczas, gdy brak jest równowagi w postaci prasy opozycyjnej. Tymczasem na Białorusi funkcjonują opozycyjne gazety, jak choćby „Nasza Niwa” – wystarczy wejść na stronę internetową nn.by. Być może nie wiedzą o tym światli Europejczycy, którym nie ma kto tłumaczyć pisanych po białorusku tekstów. A być może obawiają się, że myszkujący po Unii białoruscy dziennikarze zaczną pokazywać bezdomnych w Warszawie czy w Pradze albo żebraków w centrum Brukseli. Wiem, co mówię – sam ich widziałem.

Unijna Rada Ministrów nie zdecydowała się na wprowadzenie sankcji ekonomicznych o co zabiegali zasiadający w Europarlamencie chadecy, a zwłaszcza Jacek Protasiewicz. Wyręczyły ją w tym Stany Zjednoczone wprowadzając zakaz na utrzymywanie kontaktów gospodarczych m.in. z białoruskim koncernem naftowym Biełnieftchim. Widocznie władze USA są

przekonane, że na Białorusi, podobnie jak u nich za Busha, rządzą nafcjarze i to oni fałszują wybory oraz nasyłają policję na demonstrantów.

FAŁSZOWANIE WYBORÓW CZY RZECZYWISTOŚCI?

Działaczka Zjednoczonej Partii Obywatelskiej Ludmiła Griaznowa twierdzi, iż grudniowe wydarzenia na mińskim Placu Niepodległości przyniosły negatywne skutki zarówno dla opozycji, jak i władzy oraz kraju jako takiego. Pozwałam sobie mieć nieco odmienne zdanie. Dzięki bitwie na placu opozycja zaistniała w zagranicznych mediach. Któż bowiem zwróciłby uwagę na przegranych polityków z kilkuprocentowym poparciem wyborców. Z kolei Łukaszenko zyskał dodatkowe argumenty na rzecz rozprawienia się ze swoimi przeciwnikami, którzy nie tylko w słowach, lecz i w czynach atakują najwyższe organy władzy państwowej. W jakimś sensie zyskała też Białoruś a dokładniej jej obywatele, którym Polska zniosła obowiązek uzyskiwania płatnych wiz. Wskazówka dla Ukraińców: zróbcie zadymę na Majdanie, dajcie się spałować i zapakować do aresztu, to będziecie bezpłatnie jeździć sobie do Polski.

Do konfrontacji z Łukaszenką opozycja przygotowywała się od dawna i starannie. Jeszcze przed wyborami nawoływała do udziału w wiecu na Placu Niepodległości. Pretekstem miały być sfałszowane wybory. Logika jasnowidza nie znalazła jednak wiarygodnego potwierdzenia w faktach. Sprawozdanie misji obserwacyjnej OBWE nie wspomina nic na temat fałszerstw wyborczych. Stwierdza natomiast, że jedną trzecią członków komisji wyborczych stanowili przedstawiciele delegowani przez partie polityczne i organizacje społeczne. Zapewne po to, żeby wspólnie z Łukaszenką fałszować wybory.

Ponadto wybory nadzorowało około 30 tysięcy obserwatorów, w tym ponad tysiąc zagranicznych. Jeden z nich, Ivan Hopta ze Słowacji twierdzi, iż po zakończeniu głosowania wszyscy obserwatorzy, zarówno krajowi, jak i zagraniczni, mieli możliwość uczestniczenia w liczeniu głosów. Powołuje się

również na opinię rosyjskiej misji obserwacyjnej składającej się z przedstawicieli różnych partii i organizacji, która odwiedziła około 1/3 wszystkich punktów wyborczych i nie stwierdziła żadnych poważnych uchybień. Chyba, że za takowe uznać to, że w jednym z punktów do kabiny weszło wspólnie starsze małżeństwo, a nie każdy z osobna jak mówi o tym prawo wyborcze. „Jeżeli ktoś mówi o fałszowaniu wyborów w sytuacji, gdy różnica między pierwszym a drugim kandydatem wyniosła 77 proc., to znaczy, że zupełnie zatracił poczucie politycznej rzeczywistości” – konkluduje Hopta. Opozycja twierdzi, że do masowych fałszerstw dochodziło podczas wyborów przedterminowych. Jednakże udział w nich wzięło zaledwie 23 proc. wyborców. Gdyby nawet – teoretycznie rzecz biorąc – wszystkie te głosy zostały sfałszowane, to i tak nie mogłyby przeważać szali pozostałych 77 proc. Chyba żeby zastosować arytmetykę Władimira Żyrinowskiego, który precyzyjnie obliczył, że Łukaszenko zdobył zaledwie 30 proc. głosów.

KTO WYWOŁAŁ ZADYMĘ?

O tym, że opozycja ma dość Łukaszenki a Łukaszenko dość opozycji wiadomo było od dawna. Problem walki o władzę, której Łukaszenko nie chce oddać a opozycja nie jest w stanie przejąć wystąpił z całą ostrością podczas grudniowych zamieszek na Placu Niepodległości. W sprawie tej jest sporo niejasności. Faktem jest, że podczas demonstracji zaatakowano budynek rządu. Opozycja obwinia o to, oczywiście, władzę, które podobno posłużyły się prowokatorami. Ostrożne jednak stanowisko w tej kwestii zajęła misja OBWE. „Rząd białoruski oraz resorty specjalne powinny zbadać wszystkie szczegóły wczorajszych wydarzeń i wyjaśnić na ile prawidłowe były specjalne środki podjęte wobec uczestników akcji, którzy, jak uważa białoruski rząd, naruszyli prawo” – mówił nazajutrz po tych wydarzeniach zastępca szefa misji. Wątpliwości nie miał natomiast jeden z niezależnych obserwatorów, szef policji w niemieckim landzie Saksonia-Anhalt, Franz Messer. „Na ile mogłem to obserwować, to według prawa niemieckiego w żadnym

wypadku nie była to pokojowa demonstracja” – powiedział dziennikarzom.

Opinii opozycji nie podziela jeden z kandydatów w wyborach prezydenckich, Polak z pochodzenia Jarosław Czesławowicz Romanczuk. Jego zdaniem ze strony organizatorów demonstracji padły jawnie prowokacyjne nawoływania na które władza odpowiedziała w „nie mający uzasadnienia bezlitosny sposób. Na początku była to akcja pokojowa, lecz kiedy z trybuny na której znajdowali się Niekliajew i Statkiewicz (kandydaci w wyborach prezydenckich – przypis), odezwały się nawoływania aby iść na Plac Niepodległości i zdobyć budynek rządu, zrozumiałem, że coś jest nie tak” – mówił Romanczuk. Od swojego kandydata odcięła się jego macierzyste ugrupowanie Zjednoczona Partia Obywatelska wydając oświadczenie w którym ocenia wystąpienie Romanczuka jako „nieuzasadnione i pozostające w sprzeczności ze stanowiskiem partii”. Romanczukowi zarzucano też, że w kilka dni po wyborach spotkał się z Łukaszenką, aby omówić możliwość włączenia w skład rządu wywodzącego się z opozycji ekonomisty. Romanczuk twierdził, iż w ten sposób chciał ratować swoją partię. Ta jednak uważa, że takiego ratunku nie potrzebuje.

Oporów przed osobistymi kontaktami z prezydentem nie miał też arcybiskup Kościoła rzymskokatolickiego, Polak Tadeusz Kondrusiewicz, który spotkał się z Łukaszenką z okazji świąt Bożego Narodzenia. Polski biskup na Białorusi ma powody do utrzymywania dobrych stosunków z władzami, skoro od 1988 r. tamtejszy kościół otrzymał od państwa około 300 obiektów dla celów religijnych.

DLACZEGO ŁUKASZENKO WYGRYWA WYBORY?

Zwycięstwo Aleksandra Łukaszenki w pierwszej turze wyborów prezydenckich nie powinno dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę to, co miała wyborcom do zaproponowania opozycja. Nie dość, że jest wzajemnie ze sobą skłócona, nie potrafi wyłonić spośród siebie jednego, liczącego się kandydata, to jeszcze nie

wypracowała realnej alternatywy programowej wobec obecnych władz. Zobaczymy, co proponowali wyborcom poszczególni kandydaci.

Władimir Niekliajew (Niakliajeu według transkrypcji białoruskiej) – 1,78 proc. głosów, zażądał przeprowadzenia przedterminowych wyborów prezydenckich bez udziału Łukaszenki. Widocznie, jego zdaniem, wyeliminowanie najpoważniejszego kandydata zgodne jest regułami demokracji.

Dysydent z prezydenckiego obozu, były wiceminister spraw zagranicznych, a za komuny pracownik Sekretariatu ONZ, Andriej Sannikow (Sannikau) – 2,43 proc., inicjuje kampanię na rzecz wstąpienia Białorusi do Unii Europejskiej. Cel to, być może, szczytny jednak chwilowo nierealny.

Z kolei szef wydawnictwa kartograficznego Dmitrij Uss – 0,39 proc., opowiada się za zacieśnieniem stosunków z Rosją czym zbytnio nie różni się od Łukaszenki.

Natomiast kandydat chrześcijańskiej demokracji Witalij Rymaszewski – 1,09 proc., uważa, że Białoruś zamiast na Rosję powinna orientować się na Litwę i Ukrainę.

Wspomniany już Jarosław Romanczuk – 1,98 proc., chce przekonać Białorusinów do liberalnej gospodarki rynkowej.

Grigorij Kostusiuw (Kastusiou) – 1,97 proc., który, podobnie jak Łukaszenko, był dyrektorem sowchozu lansuje białoruską symbolikę narodową odrzuconą przed kilku laty w referendum.

Jak widać, białoruska opozycja zdaje się nie wyczuwać ani społecznych nastrojów ani oczekiwań własnego społeczeństwa. Białorusinów w małym stopniu pasjonuje Pogoń jako godło państwowe. Nie pragną też masowej prywatyzacji, choć Łukaszenko ostatnio stara się prywatyzować w ostrożny sposób oraz przyciągać zagranicznych inwestorów. Dla Białorusinów ważne jest bezpieczeństwo socjalne, otrzymywanie regularnej zapłaty i bezrobocie na poziomie 0,7 proc. Będą głosować na

Łukaszenkę, który obiecuje podwyższenie o ponad 160 proc. emerytur w najbliższych pięciu latach, który dba o zapewnienie godziwych warunków w domach opieki dla ludzi starych i inwalidów. I nie tylko, samotni starzy ludzie w zamian za przekazanie swojego mieszkania we władanie gospodarki komunalnej będą mieli prawo do pełnej opieki a władze komunalne będą za nich opłacać czynsz.

Obywatele Białorusi oczekują od władzy sprawnej organizacji a takiej alternatywy nie jest w stanie przedstawić opozycja. Kandydat będący realną alternatywą dla Łukaszenki musiałby przekonać wyborców, że byłby lepszym administratorem państwa niż obecny prezydent. Czy za sprawnych administratorów można uznać Alesia Michalewicza – 1,02 proc. czy też Nikołaja Statkiewicza – 1,05 proc., którzy nie potrafią dogadać się nawet we własnych szeregach partyjnych? Michalewicza usunięto z najstarszej partii opozycyjnej – Białoruskiego Frontu Narodowego za publiczną krytykę jej kierownictwa, natomiast Statkiewicz deklarując chęć startowania w poprzednich wyborach prezydenckich doprowadził do rozłamu w partii socjaldemokratycznej. Czy sprawnym administratorem na skalę państwa może być 71-letni Wiktor Tereszczenko – 1,19 proc., właściciel zakładów produkcji kosmetyków, nr 50 na liście najbardziej skutecznych i wpływowych biznesmenów? Łukaszenko, bez względu na to jak oceniać metody sprawowania przezeń władzy, jest zręcznym mówcą potrafiącym w sposób przekonujący przedstawiać swoje argumenty i politykiem lepiej niż inni potrafiącym wyczuwać społeczne nastroje i oczekiwania. I dlatego wygrywa kolejne wybory.

Autor: Bolesław K. Jaszczyk

Źródło: [Lewica](#)